# Transkrypcja podcastu „Jakby nas ziemia pochłonęła. Pamiętniki z płonącego getta”.

# Odcinek 2. „Wróg szuka nas wszędzie”

[muzyka]

[NARRATOR] Wiosną 1941 roku w warszawskim getcie mieszkało 460 tysięcy osób. Wiosną 1943 roku zostało ich 50 tysięcy. W ciągu kilku miesięcy Niemcy wywieźli z Warszawy do obozu zagłady w Treblince i zamordowali w komorach gazowych 300 tysięcy Żydów. Ci, którzy pozostali w getcie, zaczęli budować schrony i kryjówki. Zeszli do nich, gdy rozpoczęła się ostateczna likwidacja dzielnicy żydowskiej, a w getcie wybuchło powstanie. Inżynier Goldman. Stella. Łazarz. Pan Maur. Dziewczyna z bunkra przy Miłej. Ukrywanie się było ich formą oporu. Niemcy kazali zrównać getto z ziemią, spalić domy, zburzyć mury, wysadzić w powietrze ściany. Przetrwały słowa. Pamiętniki. Zapis życia i śmierci żydowskich cywilów podczas powstania w getcie warszawskim.

Jakby nas ziemia pochłonęła. Pamiętniki z płonącego getta.

Odcinek 2. Wróg szuka nas wszędzie

[INŻYNIER] Kości zostały rzucone. Posiadający schrony – skryli się w nich. Wszystko, co żyło, znikło z powierzchni ziemi.

[NARRATOR] Kiedy to wszystko się dzieje, Stefania Stella Fidelseid ma 26 lat. Jeszcze nie tak dawno temu studiowała biologię. Koledzy z grupy kazali jej wtedy stawać z tyłu. Kto to widział, żeby Żydówka stawała przed Polakami. Jeszcze nie tak dawno temu odbywała staż w Szpitalu Świętego Ducha. Musiała zrezygnować. Kto to widział, żeby Żydówka praktykowała w chrześcijańskim szpitalu.

Jeszcze nie tak dawno temu pracowała w Szpitalu Żydowskim na Czystem. Poznała tam Salomona Świecę. Lolka.

We wrześniu 1939 roku życie uratował jej kot. Miauczał, że chce wyjść z mieszkania. Cała rodzina Stelli instynktownie poszła za nim. W dom trafiła bomba.

Rok później, jesienią matka Stelli postanowiła umrzeć jak królowa. - Żyłam jak królowa, umrę jak królowa - powiedziała. Wykupiła miejsce na cmentarzu żydowskim i popełniła samobójstwo.

W kwietniu 1943 roku Stella ma 26 lat, męża Lolka i psa Bimbusia. Mieszkają przy Wołyńskiej 6, na parterze. Lolek jest lekarzem Żydowskiego Pogotowia Ratunkowego. Stella nie pracuje. Nie pokazuje się na ulicach. Nie myśli o ucieczce na aryjską stronę. Lolek nie chce zostawić swojej rodziny, która także mieszka w getcie. Nie stać go, żeby zapewnić im wszystkim przeżycie po aryjskiej stronie.

Nie zachowa się żaden materialny ślad schronów, w których ukrywa się Stella. Zachowa się za to jej pamiętnik. Maszynopis. 21 700 słów.

[STELLA] Każdy siedział w skupieniu. Ludzie nie odzywali się do siebie zupełnie. Oczy szeroko rozwarte wyrażały szalony strach.

[NARRATOR] W bunkrze jest ciasno. Ledwie się mieszczą. Nie można rozprostować nóg. Zostawili zapalone dwie świeczki, żeby dzieci się nie bały. W migotliwym świetle Stella rozpoznaje ludzkie twarze. Widzi żony pogotowiarzy, Freda Orleana z matką, żoną i dwójką dzieci – jedno z nich, niemowlę, urodziło się podczas poprzedniej akcji. Sporo jest kobiet. Irka Bubiowa, żona zastrzelonego donosiciela, trzyma na kolanach małego pasierba. Jureczek tuli się do niej. Bardzo boi się śmierci. Ciągle słychać jego szept: Mamusiu, ty mnie nie oddasz, ja będę żył. Stella podziwia Irkę. Tak łatwo mogła się uratować! Ma świetny wygląd, zalecał się do niej polski policjant – przychodził codziennie, chciał zabrać Irkę do siebie. Mogła żyć, myśli Stella. Nie chciała jednak zostawić przybranego synka. Wolała zginąć.

Stella patrzy na pozostałe kobiety: każda ma na sobie najlepszą suknię i palto, na głowie chustkę, obok – węzełek z rzeczami. Ona sama włożyła jasną jesionkę i buty-narciarki, przez ramię przewiesiła torebkę z dokumentami i zdjęciami. Wlecze za sobą kurtkę Lolka. Lolka z nią nie ma.

Tego dnia drzemali oboje na kanapie w ich mieszkaniu. Ocknęli się o piątej rano, mieli zejść do kryjówki za gazomierzem. Lolek postanowił jeszcze zajrzeć do ambulatorium. Miał zaraz przyjść. Nie przyszedł. Ledwie Stella zasunęła za sobą gazomierz, w domu rozległy się krzyki i strzały. Chciała biec do Lolka, ale ludzie nie dali jej wyjść z kryjówki. W domu byli Niemcy. Chodzili po pokojach, krzyczeli, strzelali. Odeszli po godzinie. Podpalili za sobą dom. Stella pamięta ogień na klatce schodowej, sznur złapany z mijanego mieszkania, przywiązany do poręczy, skok przez płomienie, bieg. Pamięta jak pojedynczo przeczołgali się na czworakach przez podwórze do wejścia do schronu. Pamięta dwumetrową drabinę w dół, pod ziemię, do bunkra.

Teraz są w schronie i Stella cała się trzęsie. Boi się o Lolka. Żyje? Zabrali go? Wywiozą? Na pewno będzie skakał z wagonu, ma przecież w bucie piłkę do metalu. Jakaś kobieta częstuje Stellę kostką cukru. To uświadamia jej, że jest głodna, i że nie wzięła ze sobą nic do jedzenia. Jeśli dożyje nocy, musi czegoś poszukać.

Fred Orlean przypomina sobie, że w ich kamienicy jest jeszcze jeden schron. Nie ma tam ludzi, ale są zapasy. Prowadzi kilka osób, Stella idzie z nimi.

Piwnica, gdzie znajduje się bunkier, okazuje się w połowie zawalona. Zostało wąskie przejście, w przejściu leży trup. Fred Orlean próbuje wcisnąć się do środka, ale jest za duży. Ze wszystkich obecnych najmniejsza i najdrobniejsza jest Stella.

Myśl o położeniu się na trupie napełnia ją niesłychanym wstrętem. Podkłada pod siebie kilka szmat. Pełznie. Gdy dochodzi do trupa chce się cofnąć, ale głód jest silniejszy. Przechodzi po nim. Wewnątrz piwnicy widzi stół, pod stołem kosze z jedzeniem: suchary, mąka, cukier, groch, kartofle. Ładuje wszystko do worka.

W dawnej kantynie pogotowiarzy w piwnicach urządzają sobie kuchnię. Jest tu zapas drewna, garnki, z kranu wciąż leci woda. Stella czeka na zupę i wydaje jej się, że słyszy cichutki skowyt. Wychodzi na schody, świeci zapałką. Widzi małego Bimbusia, na wpół uduszonego w dymie, piszczącego cichutko. Łapie pieska i wraca z nim do kantyny. Karmi go, a Bimbuś je tak łapczywie, że rozchlapuje zupę na podłogę. Potem układa się jej na kolanach i zasypia.

Robi się późno. Zbliża się znienawidzony dzień. Trzeba wracać do bunkra. Stella nie wie, co zrobić z Bimbusiem. Ludzie zaczynają sarkać, boją się, że piesek będzie piszczał. Mają rację. Stella bierze Bimbusia na ręce, wynosi go na podwórze, całuje między uszy. Potem wypuszcza go na drogę, prowadzącą na ulicę. Piesek kilka razy wraca i piszczy. Stella zostawia go i idzie do bunkra. Wie, że nie ma prawa go zatrzymać, aby nie narażać innych.

[STELLA] A poza tym – na wolności miał przecież większą szansę życia ode mnie.

[NARRATOR] Tymczasem w schronie, który zbudował Inżynier Goldman, robi się cicho i spokojnie. Część ludzi postanowiła przenieść się do bunkra pod warsztatem numer 7. Nie podobało im się, że u Inżyniera jest ciasno, duszno i mało do jedzenia. Ci, którzy zostali, odetchnęli z ulgą. Warunki poprawiły się. Dni upływają na słuchaniu radia i gawędach na najrozmaitsze tematy. Pan Cederbaum wykazuje się błyskotliwym poczuciem humoru. Atmosfera jest tak beztroska, że wieczorem, gdy umilkną już odgłosy detonacji, nastawiają patefon. Czczą zwycięstwa Anglików w Afryce kieliszeczkiem znakomitego ajerkoniaku. Ta beztroska uwiera Inżyniera. Tylko on wychodzi z bunkra na powierzchnię, tylko on widzi codziennie płonące mury, spotyka zrozpaczonych, błąkających się ludzi, którzy pogubili rodziny i przyjaciół, i kryją się wśród ruin, szukając jedzenia i wody. Tylko on rozumie zagrożenie, jakie stanowią: jeśli sytuacja się utrzyma, zacznie się głód, a wraz z nim rabunek i rozbój. Postanawia zwiększyć środki ostrożności przy otwieraniu schronu. Przy okazji dowiaduje się, że warunki w bunkrze pod warsztatem numer 7 są straszne – zamiast 50, chroni się tam 250 osób. Brakuje jedzenia.

Strach wraca 25 kwietnia. Tego dnia tupanie żołnierskich butów słychać przez dwie, trzy godziny. Trzeba leżeć bez ruchu na pryczach. W schronie są dzieci. Trzeba je zabawiać i dbać, żeby nie płakały i nie krzyczały, uspokajać kobiety, które potrafią znienacka wszcząć kłótnię w toalecie lub w kuchni, gdy nad głowami przechadza się patrol.

Wieczorem Inżynier wychodzi na rekonesans. Przynosi wieści: Niemcy piędź po piędzi przeczesują ruiny, wysadzają dynamitem podejrzane ściany. Szukają schronów.

[odgłos pisania piórem]

[ANONIMOWA AUTORKA] Wróg szuka nas wszędzie. Nasłuchuje, puka, kręci się wokół. Naszą obroną jest jak największa cisza i spokój.

[NARRATOR] Ta dziewczyna mieszka w schronie pod kamienicą przy Miłej. Panuje w nim wielka cisza. Powietrze jest straszliwe. Ludzie prawie się duszą, wielu traci przytomność. O spaniu nie ma mowy, można by udusić się przez sen. Jest tam za dużo ludzi. Przyszli ósmego dnia, gdy spaliła się sąsiednia kamienica. Ci, którzy ocaleli, szturmowali wejście do schronu, błagali o ratunek. Wpuszczono ich i w bunkrze jest teraz bardzo ciasno. Duszno. Jeszcze więcej osób chciałoby dostać się do środka. Naprawdę nie można ich już wpuścić, ale oni nie chcą odejść. Dobijają się do włazu. Proszą, płaczą, krzyczą, sprzeczają się między sobą o to, kto powinien, a kto nie powinien znaleźć schronienia. Część odchodzi do innych bunkrów. Część wpuszczają. Wielu z nich nie ma ze sobą nic do jedzenia. Właściciele bunkra siadają do narady. Ustalają, że przybyszom będzie się wydawać talerz zupy i kubek kawy dziennie. Racje będą dzielić najstarsi, ci, którzy gotują.

O szóstej rano wszyscy leżą już bez ruchu, w oczekiwaniu na akcję. Na pryczy dziewczyny bez imienia położono dodatkowo małego chłopczyka. Dzieciak kręci się i rzuca tak bardzo, że zaczynają boleć ją boki. Naraz rozlega się trzask, gdzieś w pobliżu rozrywa się granat ręczny. Wszyscy wstają z miejsc. Stoją w milczeniu.

[ANONIMOWA AUTORKA] Nieprzyjaciel jest dookoła naszego domu, szuka nas. Naszą obroną jest jak największa cisza.

[STELLA] Boże, żeby tylko nas nie znaleźli.

[NARRATOR] U Stelli znowu jest dzień. W niemym napięciu, stłoczeni, ludzie z jej bunkra nasłuchują kroków zbirów tuż nad głowami. Słyszą pokrzykiwania, rozmowy. Nagle od strony podwórka, dobiega szuranie, tępe uderzenia o bruk, hurgot kamieni. Strach udziela się dzieciom, zaczynają cicho płakać. - Cicho – syczą starsi.

Zaczyna się uspokajanie. Stella kurczowo trzyma się Ryśki Winerowej, przy każdym stukocie zamiera jej serce. Pod wpływem gwałtownego podmuchu świeczki gasną. Jest ciemno.

[STELLA] Szalony strach czai się wszędzie. Matki chowają dzieci pod chustki i przytulają do siebie. Słychać kwilenie niemowlęcia Freda, musi być głodne lub mokre. Padają szeptem przekleństwa. - Dziecko nas zgubi…! Rozlega się jakieś szamotanie, szuranie. Po paru minutach jest już zupełnie cicho.

Godziny wloką się w nieskończoność. Ten dzień chyba nigdy się nie skończy. Niemcy odchodzą dopiero wieczorem.

Ludzie czekają w ciszy jeszcze pewien czas i ostrożnie uchylają klapę. Jest ciemno. Noc. Zapalają świeczki. Stella widzi wokół siebie zmęczone, poszarzałe twarze. - Pewnie i ja tak wyglądam – myśli. Jedna z sąsiadek, widząc, że Stella zbiera się do wyjścia, podaje jej jakieś dziwnie lekkie zawiniątko. To dziecko Freda. Martwe. Trzeba je stąd wynieść. Stella bierze je pod pachę zaczyna wyłazić po drabinie. Dadek, który jest już na zewnątrz, nagle łapie ją za rękę, ciągnie na górę, każe się schować. Stella skacze w kąt i dopiero teraz widzi wychodzącego tuż za nią Freda. W ręce ma nóż. Widział, że wynosi jego dziecko i skoczył za nią. Stella rzuca trupka do jakiejś palącej się piwnicy i schodzi do kantyny. Myje się pod zlewem, siada do obierania kartofli.

[NARRATOR] Warunki życia w schronie Inżyniera Goldmana stają się nieznośne. Elektryczność padła, powietrze jest stęchłe. Pojawiły się wszy. Nikt już nie czyta, nie pije ajerkoniaku, nie słucha patefonu. Od siódmej rano do ósmej wieczorem wszyscy leżą na swoich pryczach. Starają się nie poruszać. Nasłuchują. Od ranka do zmroku nad głowami słyszą tupot nóg, niemieckie głosy i śmiechy. Inżynier jest już pewien, że poszukiwania coraz bardziej zbliżają się do jego schronu. Słyszy nowy, niepokojący dźwięk: brzęk metalu o asfalt. Jakby coś kuto. Z głuchym łoskotem przetaczają się nad nimi koła ciężarówek i zaraz gdzieś niedaleko rozlega się eksplozja. Z łoskotem walą się mury.

Ósmego maja Niemcy znajdują sąsiedni schron, konstrukcją bardzo zbliżony do bunkra Inżyniera Goldmana. Inżynier już wie – zostało im może kilka dni. Namawia ludzi, żeby opuścili kryjówkę i skryli się w ruinach, ale nikt nie chce go słuchać.

[INŻYNIER] Większość odrzuciła mój wniosek. Nie chcieli zrezygnować z esencji swego dobytku, zgromadzonej w schronie, żal im był nędznych pozorów wygody.

[NARRATOR] Dziewiątego maja znów słychać kroki nad bunkrem, dreptanie od świtu do nocy, dźwięk żelaza o beton. Inżynier obiecuje sobie, że nocą wyniesie się z bunkra. Udaje mu się namówić bojowca Bojma i stolarza Herszberga do ukrycia się wśród gruzów. Brat inżyniera nie chce słuchać.

Wychodzą we trzech. Po szczątkach stropów wspinają się na czwarte piętro. Na skrawku podłogi leży kołdra. Herszberg owija się nią i natychmiast zasypia. Inżynier woli wdrapać się wyżej, na szczyt ruiny kamienicy wciąga za sobą Bojma. Zasłaniają się cegłami i blachą, kładą płasko pod ścianą.

Niemcy przychodzą o siódmej rano. Jest ich sześćdziesięciu. Po asfalcie ciągną granatnik. Niemal natychmiast znajdują Herszberga. – Gdzie inni? – pytają. Stolarz milczy. Zabierają go. Zaczynają teraz opukiwać ściany piwnic i asfalt. Powoli, metodycznie sprawdzają ściany i posadzki. Pogoda jest piękna, niebo upaja błękitem. Inżynier drży, ilekroć Niemcy zbliżają się do schronu, który zbudował. Oddycha z ulgą, gdy się oddalają. Pod ziemią wciąż jest jego brat. Jest już 16.00, kiedy słychać ogłuszający huk. W powietrze bije słup czarnego dymu. Bojm musi siłą trzymać Inżyniera na dachu. Z dołu słychać tumult – płacz dziecka, krzyk kobiet, niemieckie rozkazy. Wszystko milknie dopiero o siódmej wieczorem. Niemcy odchodzą. Jeszcze nie przebrzmiały kroki, Inżynier już jest na dole. W stropie schronu – jego schronu – zieje dziura metr na metr, buchają z niej dym i płomienie. Z sąsiedniej piwnicy wychyla się człowiek. Inżynier biegnie do niego. - Mój brat? - woła. - Żyje – słyszy w odpowiedzi. Przeskakuje przez gruzy, łapie ocalałego brata w objęcia.

Z całego schronu zostało ich czternastu. Dowcipnego pana Cederbauma już wśród nich nie ma.

[INŻYNIER] Tak zginął schron inżyniera Cederbauma, który kosztował 300 tysięcy złotych i miał zapewnić schronienie ludziom przez 6 miesięcy. Zgromadzone w nim dobro spłonęło.

[MAUR] Jak niewielkie mieliśmy wyobrażenie o tym, do czego zdolni są Niemcy. Nasza fantazja nie była w stanie wyobrazić sobie, że cały majątek, wszystkie domy z towarami, warsztaty, fabryki, maszyny warte dziesiątki i setki milionów, wszystko to zostanie podpalone z naszego powodu. Przez nas, którzyśmy się zakopali pod ziemią, ukryli wśród murów i nie posiadamy już nic poza gołym życiem i silną wolą, by go nie oddać. Nie. Tegośmy sobie nie wyobrażali.

[NARRATOR] Pan Maur ukrywa się w trzech pokoikach pod frontem domu numer 38, przy bramie, która prowadzi na ulicę Nalewki. Mają tu prąd, wodę i klozet, obiady gotują sobie na kuchence elektrycznej. Leżą na pryczach i czytają książki. Jest ich dwanaścioro: troje dzieci, pięć kobiet, czterech mężczyzn. Wentylacja jest słaba i zaczyna brakować powietrza. Ze względu na bliskość bramy, trzeba milczeć, powstrzymywać każde kaszlnięcie, nie wolno rozmawiać.

Często słyszą Niemców. Przemarsz, wymarsz, kroki. Potem nastaje cisza. Tego dnia, o godzinie piątej popołudniu, zaczyna się jednak podejrzany ruch. Przez bramę wjeżdżają i wyjeżdżają samochody. Coś się dzieje. Czyżby wywozili firmę? To możliwe, ale przecież wywiezienie tylu maszyn, towarów i narzędzi musiałoby trwać miesiące. Skąd zatem ten nagły pośpiech, te krzyki, bieganina? Przed siódmą wszystko cichnie. Jest nawet jakby ciszej niż było.

Zaraz po siódmej pan Maur czuje czad. Zaczyna szukać i widzi, że z jednej ściany leci dym. W sąsiedniej kamienicy musiano rozpalić ogień, a dym wlatuje do ich kryjówki. Na szczęście mają cement i piach, rozrabiają je z wodą i szybko zalepiają otwór. Uspokajają się, zadowoleni. Dobrze, że mieli pod ręką ten cement. Dymu jednak wciąż przybywa. We frontowej ścianie jest niewielkie okienko, otwór na 10-15 centymetrów, zabity i zamaskowany tak, że zostało tylko kilka centymetrowych dziurek do wentylacji. Pan Maur decyduje się otworzyć okienko, wywietrzyć dym. Robi nieduży otwór i wygląda na zewnątrz. Po drugiej stronie ulicy widzi płonący dom, zajęty ogniem od parteru aż po dach. Raptem na pierwszym piętrze otwierają się drzwi balkonowe, w blasku płomieni wybiega z nich człowiek. To mężczyzna, może pięćdziesięcioletni, z okropną, dziką twarzą i wytrzeszczonymi oczami. Musiał wybiec prosto z kryjówki. - Pali się! Pali się! - wrzeszczy. Przerzuca nogi przez balustradę balkonu i gotuje się do skoku. W tym momencie brzmią strzały.

[MAUR] Spada jak kloc, nieruchomy. Przy trzasku ognia rozlegają się śmiechy. To ci, którzy pilnują, by ogień dobrze się rozprzestrzeniał i by nikt nie uszedł żyw.

[NARRATOR] Z innego domu wybiega grupa ludzi, kobiety wołają o pomoc. Zaczyna strzelać broń maszynowa i wołania milkną. Pan Maur odwraca się od okna. Patrzy na bliskich mu towarzyszy. Milczy i myśli:

[MAUR] Tam są dzikie domy. U nas do tego nie dojdzie. My jesteśmy częścią należącej do Rzeszy niemieckiej firmy Hermanna Brauera, byłego szpiega, wojskowego, wiernego hitlerowca. Tu nie podpalą. To przecież ich majątek.

[muzyka]

Podcast „Jakby nas ziemia pochłonęła” promuje wystawę czasową Muzeum POLIN „Wokół nas morze ognia. Losy żydowskich cywilów podczas powstania w getcie warszawskim”. Wystawę obejrzysz do 8 stycznia 2024 r. Dowiedz się więcej na stronie [www.polin.pl](https://polin.pl/pl).